

PAULINA KAMFOROWSKA

RANNE DUSZE





PAULINA
KAMFOROWSKA

RANNE
DUSZE



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Małgorzata Denys
Grafika na stronach rozdziałowych: © Ruhi, © OmasStudio,
© The Pixel Store / Stock.Adobe.com
Projekt okładki i ilustracji na okładce: Agata Łuksza
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Paulina Kamforowska

Copyright © 2025, Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Książka, którą trzymają Państwo w rękach, jest z gatunku fantastyki. Wszystkie postaci oraz wydarzenia (poza stanowiącymi tło historyczne) są fikcyjne. Treści zawarte w niniejszej książce służą wyłącznie rozrywce. Przedstawione w tekście poglądy i opinie nie muszą być tożsame z poglądami i opiniami autorki.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2025
ISBN 978-83-8417-103-5

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl





ROZDZIAŁ I

WILLA 13

A nielico, rozbudź się, zbliżamy się do celu. – Zamir zerknął na nawigację w telefonie.

Róża, jego niedawno poślubiona żona, otworzyła oczy, przekręciła się na bok i wyjrzała przez okno samochodu. Jechali górską doliną, spowitą jeszcze poranną mgłą, która wraz z narastającym chłodem utrzymywała się z dnia na dzień coraz dłużej. Gęsty las, porastający okoliczne wzgórza, rumienił się w odcieniach złota i miedzi. W dali leniwie dryfowały obłoki, przywodząc na myśl wycinanki z delikatnego tiulu. Poruszone wiatrem, rzucały wyzwanie promieniom słońca i powoli, lecz wytrwale zagarniały dla siebie całe niebo.

Przeciągnęła się jak kotka. Podniosła oparcie fotela, odłożyła poduszkę na tylne siedzenie i usadowiła się wygodniej.

– Jak blisko jesteście? – zapytała półprzytomnie. Wciąż znajdowała się bardziej na granicy jawy i snu niż w punkcie, który wskazywała nawigacja.

– Za kwadrans powinniśmy być na miejscu... jeśli wierzyć nawigacji – padła szybka, lecz nie pozbawiona wątpliwości, odpowiedź.

Zamira zastanawiało, dlaczego jego zaufana aplikacja nie potrafi wyszukać celu podróży jak zwykle według nazwy miejscowości, ulicy i numeru budynku, lecz wymaga podania dokładnych współrzędnych geograficznych. A nawet wtedy skrywała przed nim nazwę wioski.

– Uroczysko nad Zakopanem... Jesteś pewna, że to prawdziwe miejsce? – zapytał pół żartem, pół serio. – Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że zmierzamy do miejsca, które nie istnieje.

Gdyby Róża nie potwierdziła lokalizacji podanej w liście, bez litości posądziłby jego autorkę, panią Dobromiłę, o błąd. Był nawet skory uwierzyć w istnienie wsi niemożliwej do odnalezienia w najdalszych zakątkach internetu, ale czemu znajdowała się nad, a nie pod Zakopanem?

Róża zareagowała na podejrzliwe nastawienie męża jedynie rozbawieniem. Pokazała mu ozdobioną papierowym motylem kopertę, na której wyraźnie widniał adres nadawcy. Znała na pamięć każde zdanie listu, który otrzymała od sąsiadki ciotki Alicji i jednocześnie jej najbliższej przyjaciółki – Dobromiły Błońskiej. Starsza pani informowała w nim Różę o śmierci opiekunki, a także prosiła o rychły przyjazd. Na początku młoda kobieta, rozpoznając w skrzynce na listy ulubioną papeterię ciotki, była przekonana, że nadawcą jest właśnie Alicja. Tym większy szok przeżyła, gdy z treści

dowiedziała się o jej śmierci. Przeczytała list wystarczająco dużo razy, by na stałe wyrył się w pamięci słowami pełnymi bólu po stracie kogoś, kto zastępował jej matkę. Po otrzymaniu tragicznej wiadomości nie mogła zasnąć, więc przez całą noc sortowała zdjęcia, korespondencję i inne pamiątki z przeszłości. Nie potrafiła pogodzić się z faktem, że ukończona ciotka odeszła na zawsze, że to nie była jedna z jej licznych podróży, lecz ostatnia, z której nigdy nie powróci. Od pamiętnego dnia, kiedy doktor Alicja Lach przygarnęła osieroconą dziewczynkę, Róża naiwnie zakładała, że dobrodziejka będzie żyła wiecznie. Nigdy nie zostawi jej samej na tym okrutnym świecie. Będą razem i żadna siła nie zdoła ich rozdzielić. Nawet śmierć.

Gdy nazajutrz po otrzymaniu listu wreszcie doszła do siebie, napisała odpowiedź dla pani Błońskiej, a następnie razem z mężem zaczęli przygotowania do wyjazdu w jej rodzinne strony. Podróż miała dla niej wyjątkowe znaczenie. Od ostatniej wizyty w domu minęło kilka długich lat, które Róża spędziła na nauce w liceum, potem na studiach tańecznych, połączonych z pracą instruktorki w szkole tańca w Warszawie. Dla jej męża była to natomiast pierwsza wyprawa w rejon Tatr.

Zamir miał dwadzieścia cztery lata i niedawno ukończył studia na wydziale instrumentalnym. Genialna harmonia i poezja dźwięków, które tworzył na fortepianie, skrzypcach czy gitarze, potrafiły wynieść słuchacza prosto do nieba lub strącić w otchłań mroków własnej duszy.

Gdy poznali się na jednym z korytarzy akademii muzycznej, od razu między nimi zaiskrzyło. To było jak zderzenie dwóch przeciwnych i do tej pory odległych sobie światów,

z których kawałków przewrotny los postanowił złożyć doskonałą, lecz wymykającą się wszelkim ramom, wspólnotę małżeńską.

Z początkiem ogólnoświatowej pandemii, kiedy liczba występów tanecznych i koncertów drastycznie spadła, zapragnęli wyrwać się na chwilę ze stolicy. Po otrzymaniu tragicznej wiadomości o śmierci jedynej krewnej Róży nie wahali się ani chwili. Wszechobecne restrykcje wywoływały w nich potrzebę zaznania wolności, jaką mogło dać odosobnione miejsce otoczone górami i lasami, położone w dalekim sąsiedztwie od czegokolwiek... z wyjątkiem cmentarza.

– Cmentarz... i kaplica – zauważył Zamir.

Rzeczywiście, po prawej stronie, na polance otoczonej gęstwiną drzew, stało kilka starych nagrobków porośniętych mchem i ginących w morzu żółtych liści oraz wylaniająca się z głębi rzeźba modlącego się anioła. Nekropolia zajmowała tak małą powierzchnię, że z łatwością mogła zostać przeoczona, gdyby nie fakt, że graniczyła ze ścieżką prowadzącą w górę do świątyni. Kaplica, dla kontrastu, imponowała wielkością. Był to spory drewniany budynek, który cieszył oko bogactwem podhalańskich zdobień. Wysoki i strzelisty, z wieżyczką mieszczącą dzwon i krzyżem na szczycie, wyraźnie górował nad okolicą niczym surowy strażnik ludzkiej moralności.

– Nie będziesz już potrzebował budzika. – Róża wskazała na dzwonnice.

Była pewna, że Zamirowi nie będzie przeszkadzał dźwięk dochodzący ze świątyni codziennie wraz ze wschodem słońca. Podejrzewała raczej, że jej mąż, jako człowiek silnej wiary,

będzie wprost wniebowzięty, rozpoczynając każdy nowy dzień z uderzeniem spizowego dzwonu. W tym momencie, jak na wezwanie, od strony kaplicy rozbrzmiała jednostajna, jedwabście czysta melodia. Wybiła dwunasta.

Róża pokazała Zamirowi chatę sąsiadki – pani Dobromiły – którą mijali z lewej strony, a następnie ledwie widoczny zakręt. Samochód zwolnił, gdy wjechali między sosny na stromą, brukowaną drogę dojazdową do Willi 13. Po kilku minutach trwogi, kiedy mało brakowało, aby samochód stoczył się po wilgotnej i śliskiej powierzchni, dotarli wreszcie do bramy.

Zamir wysiadł z niewyraźną miną, zaś Róża, bardziej podniekształcona celem podróży niż przejęta jej trudami, od razu zwróciła wzrok w kierunku bramy, wyjęła z kieszeni duży pęk kluczy, które dostała od ciotki Alicji przed przeprowadzką do stolicy, i odnalazła największy.

– Czy ciotka czegoś się obawiała? – spytał Zamir. – Dlaczego odgrodziła się od świata murem? Okolica wygląda na nadzwyczaj spokojną... – Wskoczył na wystający z ziemi pniak, lecz nad prawie trzymetrowym ogrodzeniem nie udało mu się dojrzeć nic poza dachem krytym drewnianym gontem, z grzebieniem i pazdurem w kształcie tulipana, oraz drzewami, które rosły na działce podejrzanie gęsto.

– Gdy byłam młodsza, lubiłam wyobrażać sobie, że przekraczam bramę tajemniczego ogrodu – wyznała Róża rozmarzonym głosem, dalej zmagając się z kłódką, która trochę przerdzewiała i uparcie broniła wstępu na posesję. – Ciocia ceniła prywatność. Pani Dobromiła była jej najlepszą przyjaciółką i wydaje mi się, że jedyną. Zaraz zobaczysz dom. Jest piękny, choć wiekowy. Bardzo w twoim stylu.

Zamir zareagował na te słowa milczeniem, bo nie potrafił ocenić, czy „bardzo w twoim stylu” to komplement. Po tym, jak jeszcze przed wyjazdem Róża powtarzała w kółko, że willa jest „stara” i „właściwie zabytkowa”, oczekiwał rozwalającej się rudery. Teraz musiał przyznać, że ogrodzenie sprawiało wrażenie, jakby miał się za nim znajdować co najmniej dwór magnacki.

Kiedy w końcu Róży udało się sforsować kłódkę, odchylił ciężkie skrzydła bramy i ich oczom ukazał się zapuszczony ogród pełen sosen, jodeł, cisów i modrzewi. W środkowej części działki, oparta o stok wzgórza, stała tradycyjna willa w stylu zakopiańskim. Zbudowana na nieregularnej kamiennej podmurówce, dopasowywała się do pochyłości terenu niczym dziecko tulące się do piersi matki. Ściany z drewnianych płazów, misternie zdobione werandy, balkony i taras nadawały jej wrażenie swojskości i zarazem baśniowej niezwykłości. Okna lśniły jasnym blaskiem w promieniach południowego słońca, które uprzejmie wyjrzało zza chmur. Najwyższe wychodziły na urzekającą jesiennymi barwami panoramę gór. Z kolei północny bok budynku, zawsze skryty w cieniu, zarósł pospolitym bluszczem w kolorze ciemnej zieleni. Aby dotrzeć do drzwi wejściowych, musieli najpierw odszukać ścieżkę schowaną między igliwem i zasłoniętą uschniętymi pióropuszcami paproci. Minęli staroświecką studnię i drewnianą, po czym weszli po schodach na podcień. Nad drzwiami wejściowymi widniał napis „Willa 13”.

– Miałeś rację, kiedy mówiłaś, że spodoba mi się w Uroczysku. To niezwykle miejsce, inne niż wszystkie, które do tej pory widziałem. Wzgórza, lasy, strumyki i ta piękna willa.

Choć... dom i ogród są dość zaniedbane – ocenił szczerze Zamir. – Przypominają miejsce, w którym straszysz.

– Bałbyś się zostać tu sam na noc? Nie martw się, będę przy tobie – zaczęła Róża, ale zaraz usprawiedliwiła ciotkę, by zmienić temat i powstrzymać Zamira od złamania jej żeber w silnym uścisku. – Utrzymanie domu i ogrodu byłoby wyzwaniem nawet dla nas, a tym bardziej dla samotnej starszej pani. Pamiętaj też, że po tym, jak się wyprowadziłam, ciocia prawie nieustannie podróżowała. Rzadko tu bywała.

– To w pewnym sensie tłumaczy zabezpieczenia – skwitował krótko Zamir i niechętnie wypuścił ją na wolność.

Postanowił dać swojej kąśliwej żonie więcej czasu na upranie się ze wszystkimi zamkami „twierdzy” i rozejrzeć się po okolicy. Czubkiem buta przerzucił skrawek mokrej ściółki. Na błotnistych ścieżkach dostrzegł ślady dzikich zwierząt, może lisów lub kun. Obszedł dom dookoła, oceniając na oko stan elewacji, dachu, kominów i drewnianych okien. Pierwszy raz mógł podziwiać starą willę, która przywodziła na myśl wielkie dzieło sztuki wyjęte wprost z ludowej baśni. Takiej z piękną królewną, przystojnym królewiczem i złą czarownicą. Brakowało tylko tej ostatniej. Przystanął na chwilę, aby nacieszyć się świeżym zapachem sosen unoszącym się w chłodnym powietrzu. Słuchał szumu gałęzi poruszanych wiatrem nad jego głową i obserwował grę plam światła i cieni na ścianach budynku. Wokół panowała atmosfera spokoju, jakby czas się zatrzymał. Dziwne uczucie, o którego istnieniu dawno zapomniał. Przyznał w sercu, że rozumie magię tego miejsca, tak różną od specyficznego uroku wielkich metropolii, do którego był przyzwyczajony.

W pewnym momencie zorientował się, że delikatne dzwonięcie kluczy ustało i usłyszał westchnienie ulgi, gdy Róża otworzyła wreszcie wszystkie zamki drzwi wejściowych. Wyrzwał zza węgła i uśmiechnął się, dojrawszy iskiarki podniecenia w zielonoszarych oczach żony. Podbiegł do niej w kilku susach.

Róża nie mogła się doczekać, aż ponownie postawi krok w domu, w którym się wychowała i którego (wstyd przyznać) nie odwiedzała przez ostatnie osiem lat... Niewiarygodne, ale chyba w głębi duszy miała nadzieję, że zaraz zobaczy ciotkę Alicję, która wyjdzie ich powitać, że nareszcie będzie miała okazję porozmawiać o wydarzeniach, którymi dzieliły się do tej pory tylko listownie, i oczywiście przedstawić swojego męża.

– Gotowa?

Skinęła głową.

– Chodźmy więc, jestem ciekaw, jak wygląda wnętrze domu „bardzo w moim stylu” – powiedział Zamir i uchylił przed nią drzwi.

Uderzył ich kojący zapach drewna, jakże charakterystyczny dla starych wiejskich domów. Odwiesili jesienne płaszcze na wieszak tuż obok kwiecistych góralskich chust. Całe szczęście, że ubrani byli ciepło, bo dom od dawna nie był ogrzewany i w środku panował chłód. Zamir zlokalizował kominek, rozpałkę i kilka polan leżących w koszyku. W czasie gdy rozniecał ogień, Róża przechadzała się po parterze, rozsuwała ciężkie zasłony, by wpuścić do pomieszczeń więcej światła, zaglądała do szafek, dotykała uschniętych roślin doniczkowych i wypatrywała pochowanych po kątach pajęczyn.

Niestety wraz z każdym krokiem wzrastało w niej także dziwne uczucie, że coś się nie zgadza, i nie chodziło

o kilku nowych ośmionożnych lokatorów ani o kraty w oknach, które wydawały jej się najbardziej oczywistą rzeczą na świecie (Zamirowi już mniej).

Salon był taki, jakim go zapamiętała – obszerny, z szeregiem panoramicznych okien, z których roztaczał się wspaniały widok na góry, położony niżej las i drogę prowadzącą do kaplicy. Na ścianach wisiały obrazy malowane ręką ciotki, wycinanki ludowe z kolorowego papieru i piaskowe obrazki znad morza. W rogu pokoju, przy wyjściu na taras, stały sztaluga i kilka podobrazii opartych o ścianę, a poniżej leżały rozrzucone w nieładzie tubki farb. Wkoło unosił się aromat kadzideł z krwawnika, wrotyczu i piołunu, palonych tak często, że zasłony i dywany nasiąknęły ich zapachem. Pomieszczenie było urządzone harmonijnie – głównie dzięki meblom utrzymanym w jednym stylu. Kredens, stół obiadowy z krzesłami, lampy, nawet wieszak na okrycia wierzchnie wykonane były z litego drewna i bogato rzeźbione w roślinne i geometryczne wzory. Gdy słońce oświetliło wnętrze, a w kominku zatańczyły płomienie, dom wydał się od razu weselszy i bardziej przyjazny.

– Teraz już się nie dziwię, że ciotka chroniła swojego gniazdka jak fortecy – stwierdził Zamir, który jeszcze przez chwilę ogrzewał dłonie, a następnie rozsiadł się na kanapie naprzeciw kominka.

Tutaj właśnie Róża odkryła źródło dysonansu, który poczuła, gdy weszła do domu. Wysłuzona kanapa i fotele kazały przypuszczać, że odbywały się tu liczne spotkania. Pamiętała ciotkę jako osobę skrytą i broniącą prywatności do tego stopnia, że zraziła do siebie wielu sąsiadów. To niezwykła sytuacja: żyć w małej wiosce, a jednocześnie stanowić

wielką zagadkę dla jej mieszkańców. Częste i długie podróże, wyższe wykształcenie zdobyte na nieznanym nikomu uczelni, miejsce pracy, którego nikt nie kojarzył, samotne życie starej panny (przynajmniej do czasu przygarnięcia siostrzenicy) – to wszystko sprawiało, że doktor Alicja uważana była za osobę co najmniej ekscentryczną, a przez niektórych wręcz za wariatkę. Ona sama jednak zupełnie się tym nie przejmowała. Rzecz zadziwiająca – każdy uważny obserwator mógł po krótkim czasie dojść do wniosku, że taki stan rzeczy był starszej pani na rękę. Tym bardziej Róża nie wyobrażała sobie, że ciotka zaprosiłaby kogokolwiek poza przyjaciółką Dobromiłą do domu na popołudniową herbatkę. W przeszłości próbowała racjonalizować sobie ten stan rzeczy na różne sposoby. Przypisywała ciotce nieśmiałość lub pracoholizm. Czyżby po tylu latach Alicja zmieniła podejście i zaczęła hołdować tradycyjnej gościnności? Tylko dłaczego nie wspomniała o spotkaniach w swoich listach?

Róża usiadła obok męża. Zamir przeglądał właśnie prasę pozostawioną na stoliku kawowym. Datowana była na początek roku.

– Ciotka musiała mieć ciekawą osobowość – zauważył, podążając za wzrokiem żony, który zatrzymał się na autoportrecie nad kominkiem.

Alicja prawdopodobnie namalowała go całkiem niedawno. W burzy rudych włosów prześwitywały siwe kosmyki, a przymrużone zielone oczy wpatrywały się w gości, jakby przeszywały ich dusze na wskroś. Karminowe usta, otoczone siateczką drobnych zmarszczek, wykrzywił zuchwały uśmiech, zupełnie nielicujący z powagą wieku. Głowę osłaniał ulubiony beret, który mimo że pamiętał lata młodości

podróżniczki, zachował się w idealnym stanie. Na płótnie został także uwieczniony wisiołek z bursztynu z zatopionym w środku motylem, z którym właścicielka nigdy się nie rozstawała. Jeśli chodzi o wygląd, ciotka miała słabość do dwóch rzeczy: drogich kosmetyków do pielęgnacji włosów oraz wszelkiego rodzaju biżuterii, a ten wisiołek zawsze przykuwał szczególną uwagę wśród wszystkich jej świecidełek.

– Brakuje mi jej. Dom wydaje się pusty... Niby wygląda podobnie, wypełniają go wspomnienia, ale teraz kojarzy mi się z martwą skorupą bez życia – wyznała Róża wątłym głosem, czując ucisk w gardle. – Przykro mi, że nie ma jej już z nami. Żałuję, że nie zdążyła przyjechać na nasz ślub i nie miała okazji cię poznać.

Spojrzała z rozbijającym smutkiem na męża, który natchmiast, tknięty instynktem opiekuńczym, objął ją ramieniem.

– Ile bym dała, by móc ją zobaczyć ostatni raz. Podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiła.

– Och, kochana Różyczko! – odezwał się nagle głos za ich plecami. – Uwierz mi, gdyby tylko miała możliwość, na pewno pojawiłaby się na waszym weselu!

Róża wystraszyła się tak bardzo, że aż podskoczyła. Zamir odłożył gazetę i obejrzał się do tyłu.

Pani Dobromiła bezszelestnie zamknęła drzwi i właśnie odwieszała kozuch w przedsiönku.

Mimo zaawansowanego wieku roztaczała wyjątkowy blask. Nie można powiedzieć, aby dbała o wygląd należycie (przynajmniej w ocenie wielu nowoczesnych kobiet), lecz emanowała naturalnym, niewymuszonym wdziękiem, zdrowiem (lubiła dobrze zjeść) i pozytywną energią „kochanej

babuni”. Z zawodu była weterynarzem. Na emeryturze wciąż większość czasu poświęcała opiece nad zwierzętami, zarówno tymi oswojonymi, jak i dzikimi. Dawniej podróżowała służbowo, mając za kompankę swoją przyjaciółkę, Alicję. Szybko się jednak przekonała, że bardziej odpowiada jej osiadły tryb życia, i zaszła się na stałe w sąsiedniej chatce. Przez lata pomagała okolicznym mieszkańcom w hodowli, dzięki czemu zyskała poklask i szacunek. Gdy dorobiła się wesołej gromadki wnuków, zajęła się dodatkowo przygarnianiem pupili, które znudziły się najmłodszym pociechom. Od razu czuć było, że ma styczność ze zwierzętami. Głównie nosem. Pani Dobromiła nosiła wełnianą spódnicę i ręcznie dziergany sweter, które wchłaniały zapachy jak gąbka. Wizerunek miłośniczki fauny uzupełniały podrapane dłonie i zaciągnięcia materiału na ubraniach. Nie zmieniało to faktu, że starsza pani miała aparycję bardzo przyjemną dla oka: szlachetne rysy współgrały z dobrodusznym uśmiechem, dołeczkami w policzkach i oczami, od patrzenia w które rozmówcom robiło się ciepło na sercu, jak po piwie korzennym.

Dziarskim krokiem podeszła do Róży i, nie czekając na jej reakcję, mocno wyściskała ją na powitanie.

– Pokaż się szybcitko! Muszę przyznać, że ledwo cię rozpoznałam. Urosłaś... Teraz jesteś piękną i szykowną damą! – zawołała, obejmując szorstkimi dłońmi jej policzki niczym pączek kwiatka.

Między Różyczką a Różą było w istocie kilka lat różnicy, więc oczywiście sporo się przez ten czas zmieniło. Róża nie była już niską, chorobliwie chudą dziewczynką z mysimi kucykami, w schludnym mundurku szkolnym. Choć z wieku nastoletniego pozostały jej duże, migdałowe oczy, wachlarze długich

rzęs i uroczę rumieńce na policzkach, to jednak teraz przed panią Dobromiłą stała dojrzała, wysportowana kobieta o smukłej twarzy, pełnych ustach, wykrojonych jak u lalki, oraz starannie ułożonych w kok włosach w kolorze ciemny blond. Ubrana była także elegancko: w koszulę z prześwitującymi bufkami, mocno spiętą wiązaniem gorsetem, oraz jesienną spódnicę. W dłoni wciąż ścisnęła nieszczęsny list z motylkiem.

– Ach, to... – westchnęła pani Dobromiła, wyraźnie zażenowana. – Wyobraź sobie, że nie miałam u siebie papieru i musiałam skorzystać z papeterii Ali. – Uśmiechnęła się do brodu sznie, nie zdając sobie sprawy, jak silne uczucia targają Różą w trakcie czytania tak napisanego listu. – Dziękuję, że szybko mi odpisałaś, dzięki temu mogłam przygotować dom na wasz przyjazd.

Na to stwierdzenie Zamir poruszył brwiami, ledwie dostrzegalnie, co jednak nie umknęło uwadze staruszki.

– Widziałam, jak jechaliście, ta droga jest rzadko uczęszczana – wyjaśniła, błędnie interpretując gest jako nieme pytanie „A skąd się tu pani wzięła?” (choć w jednym miała rację: zaskoczyła małżeństwo swoją nagłą wizytą).

– Pani Dobromiło, proszę poznać mojego męża, Zamira Rajczyńskiego. Zamirze, to właśnie pani Dobromiła – przedstawiła ich Róża.

– Różyczko, darujmy sobie formalne zwroty. Wystarczy Dobromiła. Przyjaźniłam się z twoją ciotką przez kilkadziesiąt lat, chyba możemy pozwolić sobie na pewien stopień poufałości. – Pani Dobromiła wypowiadała się dość elegancko jak na osobę, która większość konwersacji prowadziła ze zwierzętami, naśladowując ich odgłosy, ewentualnie wydając im komendy.

– Dzień dobry. Słyszałem o pani wiele dobrego i cieszę się, że możemy się wreszcie poznać – przywitał się Zamir, po czym uklonił się kurtuazyjnie i ucałował grzbiet jej dłoni.

Pani Dobromiła poczuła na plecach ciarki wywołane niską, rzadko spotykaną barwą głosu.

– Proszę, skończcie już z tą „panią”... – zachnęła się.

Młody mężczyzna (choć w jej oczach jeszcze dziecko) zrobił na niej piorunujące wrażenie. Nic w tym dziwnego – Zamir w czasie studiów śpiewał i grał w zespole muzycznym, a pamiątką młodzieńczego buntu były kolczyki w uszach oraz pozornie niedbale ułożone, rozczochrane ciemne włosy. Szare, głęboko osadzone oczy były nisko osłonięte grubymi brwiami, które nadawały mu wrażenie drapieżności lub po prostu stałej gburowatości. I dobrze, bo dzięki temu jego świętoszkowato-dżentelmeńska prezencja, potęgowana dodatkowo przez łańcuszek z krzyżykiem na szyi, zyskiwała nutę przekory i nieprzewidywalności.

Pani Dobromiła uśmiechnęła się w duchu, gdy zauważyła, że stroje młodych współgrają stylem i kolorystyką. Obydwoje byli ubrani formalnie, gdyż zdawali sobie sprawę z wagi wydarzeń tego dnia. Jedynie ich góralskie bambosze nie pasowały do reszty – wypastowane buty, które jeszcze przed wyjściem z samochodu pięknie lśniły, ubłocily się w trakcie przeprawy przez ogród, więc musieli zostawić je przy wejściu.

Starsza pani wyciągnęła z wypchanej po brzegi torby w stylu vintage butelkę miodu pitnego i wręczyła ją Róży, która podziękowała za miły prezent i zaniosiła go do kuchni. W tym czasie gościni przyglądała się z uwagą Zamirowi, w zupełnej ciszy, co wprawiło go w pewne zakłopotanie.

Odetchnął z ulgą, gdy żona wróciła z tacą, na której zaserwowała znaną naprędce herbatę. Począł, aż obie zajmą miejsca, i dopiero wtedy sam usiadł. Pani Dobromiła wybrała fotel na wprost młodej pary, odłożyła na stolik patyk, który (jak przypuszczali) zabrała do zabawy z jakimś psem, i ujęła w palce filiżankę naparu.

– Różyczko, Zamirze – zaczęła tym razem oficjalnie. – Po pierwsze, dziękuję wam za przyjazd. Nie macie pojęcia, jak bardzo się cieszę, że widzę was całych i zdrowych. Poprosiłam was o spotkanie, aby wyjaśnić wszystko, co wiem, na temat śmierci Ali oraz przedstawić jej testament. Zaczę od tego, jak odeszła wasza ciotka, choć muszę z przykrością wyznać, że niestety posiadam niewiele informacji.

Róża doceniła gest pani Dobromiły, świadczący o przyjęciu Zamira w krąg jej bardzo nielicznej rodziny. Skinęła głową i zamieniła się w słuch.

– A więc tak... Podobnie jak wy, ostatni kontakt z Alą miałam w styczniu. Na początku roku dostałyśmy zaproszenia na wasz ślub. Swoją drogą, jeszcze raz dziękuję i wybaczenie, że nie mogłam przyjechać. Najbardziej odległym miastem, do którego podróżuję, jest Kraków. A ostatnio nawet tam rzadko bywam. Ale wracając do tematu, już kilka dni później obowiązki służbowe zmusiły Alę do wyjazdu. Nie sądziłam, że będzie tak długi, a już tym bardziej, że zakończy się w tak tragiczny sposób. – Pani Dobromiła pokręciła głową na znak, że rzeczywiście trudno jej w to wszystko uwierzyć, a jeszcze trudniej się z tym pogodzić.

– Byliśmy przekonani, że pojawi się na ślubie, mimo że nie odbierała telefonów ani nie odpisywała na listy – wyjaśniła Róża, korzystając z chwili zadumy staruszki. – Przyzwyczyłam

się, że ciocia często podróżuje, więc nie widziałam w tym nic niepokojącego. Dopiero w dniu ślubu zdałam sobie sprawę, że nie przyjedzie, że coś ją zatrzymało... Wiedziałam, że to musiało być coś ważnego, ale w życiu nie podejrzewałabym, że... Gdybym wtedy wiedziała, że zaginęła... Natychmiast zaczęlibyśmy jej szukać, nawet jeśli oznaczałoby to przerwanie miesiąca miodowego.

Zerknęła na męża w poszukiwaniu potwierdzenia swoich słów, co Zamir uczynił bez zawahania.

– Wiem, kochani, wiem – uspokoiła ich pani Dobromiła. – Na tamten moment nikt nie wiedział, co się z nią stało, a nawet gdzie dokładnie przebywa. Ala uwielbiała zniżyć, a następnie pojawiać się nieoczekiwanie. Za to bardzo nie lubiła zwierzać się ze swoich planów. Odkąd nasze drogi zawodowe się rozeszły, udzielała mi tylko szczątkowych informacji odnośnie do wyjazdów. W sierpniu skontaktowałam się z jej pracodawcą, ale dowiedziałam się jedynie, że wyjechała w ramach dodatkowego projektu, o którym nawet oni niewiele wiedzieli. Dali jej wolną rękę. W końcu pracowała u nich od lat, prowadziła własny departament i niezależne badania.

– Departament neurologii? – wtrąciła zdziwiona Róża, nawiązując do specjalizacji doktor Lach.

– Ach, rzeczywiście. – Pani Dobromiła zmieszała się i upiła łyk herbaty, dając sobie czas na znalezienie odpowiedzi. – Ala nie dzieliła się z tobą szczegółami swojej pracy, byłaś ledwie dzieckiem.

– Rozumiem... ale teraz już nie jestem, więc może nadzedł czas, by uchylić rąbka tajemnicy? Czym dokładnie zajmowała się ciocia Alicja?

Sąsiadka spojrzała jej prosto w oczy. Podniosła patyk i zaczęła go bezwiednie obracać w dłoniach. Popękane, stare drewno było ładnie wystrugane. Szkoda go na psa, zauważył w myślach Zamir. Róża była bardziej skoncentrowana na rozmówczyni niż na obserwowaniu, jakie cuda tworzy do zabawy z pupilami.

– Ech, była to dość... nieprzyjemna praca. Widzisz, Ala podróżowała czasem do pacjentów, a czasem w celach badań naukowych. Zakres jej prac to kwestia poufna i nie mogę ci więcej o nim opowiedzieć. Przykro mi, dziecinko – przyznała sąsiadka, po czym szybko wróciła do poprzedniego wątku: – O śmierci Ali dowiedziałam się przez zrządzenie losu. Wiedziała tylko, do jakiego miasta pojechała, i gdy nabrałam podejrzeń, że mogło zdarzyć się coś niedobrego, bo za długo nie było z nią kontaktu, zaczęłam śledzić lokalną prasę. Natrafiłam na artykuł o tragicznej śmierci turystki w miejscu zamkniętym dla zwiedzających. Znalezione ciało i plecak. Rozpoznałam go na jednym ze zdjęć, miał zawieszkę...

– Jaką? – dopytała Róża, bo pani Dobromiła nagle zamilkła.

– Bursztyn z zatopionym motylem.

– Ach, jej ulubiony wisiołek. Nigdy się z nim nie rozstała...

– Czy to znaczy, że ciotka Alicja się gdzieś włamała? – zapytał Zamir.

– Raczej zabłądziła w trakcie zwiedzania.

– Zwiedzania? Sądzę, że wolałaby wcześniej wrócić i przyjechać na nasz ślub, niż zwiedzać! – zaprotestowała ostro Róża.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale zapewne masz rację, Różyczko – usprawiedliwiła się staruszka. – Nie wiemy,

co dokładnie było celem jej podróży, ale na pewno wydarzyło się coś, co pokrzyżowało jej plany.

– Co się stało z ciałem? Zostało przewiezione tutaj i pochowane na cmentarzu? – Zamir miał na myśli niewielką nekropolię przy kaplicy, którą mijali wcześniej tego dnia.

– Tak, jej prochy przewieziono do Uroczyska, ale nie została pochowana na cmentarzu. Zorganizowałam pogrzeb zgodnie z jej ostatnią wolą. Ciało zostało poddane kremacji natychmiast po zidentyfikowaniu. Było to konieczne ze względu na stopień rozkładu.

Róża poczuła, jak jej ręce i nogi stają się nienaturalnie ciężkie, a oczy zachodzą czarną mgłą. Nie miała zamiaru poddawać się rozpacz i walczyła o zachowanie świadomości. Pozwoliła, aby Zamir pomógł jej napić się chłodnej wody. Dziwna mgła, która osłabiła jej wzrok, rozproszyła się po kilku minutach.

Pani Dobromiła wpatrywała się w Różę między obłoczkami pary unoszącej się znad filizanki.

– Śmierć Ali jest dla nas strasznym doświadczeniem. Pomażałam jej w twoim wychowywaniu, kiedy byłaś jeszcze mała. W pewnym sensie czuję się teraz za ciebie odpowiedzialna. Zamir ma rodzinę, ale ty, Różyczko, miałaś tylko ciotkę. Pozwól, że postaram się chociaż w jakimś stopniu ją zastąpić.


Róża nie była w stanie wydusić ani słowa. Pani Dobromiła wyciągnęła ku niej ręce. Gdy ich dłonie się spotkały, ciepło skóry sąsiadki i łagodność wejrzenia przyniosły Różę ulgę dla skołatanych nerwów. Za oknem zaczęło się ściemniać. Zachodzące słońce zabarwiło wieczorne niebo na różowo i pomarańczowo. W dole zamigotały drobne światełka wiejskich latarni.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)